

„Tygodnik Polski” (Melbourne) 28.7.1949 – 28.7.2009

Na stanowisku redaktora - wspomnienie

28 lipca 2009 roku minęło 60 lat od chwili wydania w Australii przez ks. Edmunda Konrada Trzeciaka pierwszego numeru „Tygodnika Katolickiego”, który ukazuje się po dziś dzień, jednak od 1965 roku pod tytułem „Tygodnik Polski”. Jest więc to dzisiaj jedno z najstarszych pism polonijnych na świecie.

Z pismem tym byłem nie tylko blisko związany współpracą, ale również odegrałem w jego historii dwukrotnie bardzo ważną rolę.

Mój pierwszy kontakt z „Tygodnikiem Polskim” (wówczas jeszcze Katolickim) miał miejsce 2 kwietnia 1964 roku we Freemantle. Zaraz po przyjeździe do Melbourne mjr Stanisław Jandzis, właściciel drukarni Polpress, w której drukowany był „Tygodnik”, zaaranżował moje spotkanie z red. Romanem Gronowskim. Na spotkanie przyszedłem z napisanym „na kolanie” artykułem (pierwszym w moim życiu). Nie tylko, że przyjął go do druku, ale zamieścił na pierwszej stronie pisma (*Kraj Wam tego nigdy nie wybaczy* 9.5.1964), a po kilku kolejnych naszych spotkaniach zaproponował mi stanowisko sekretarza redakcji; w latach 1964-65 byłem pierwszym i jak dotychczas jedynym w historii „TP” sekretarzem redakcji.

Artykuł ten, jak i wszystkie inne w tym okresie, był podpisany pseudonimem „Marian Soroka” (pseudonim zasugerował ze względu na bezpieczeństwo mojej rodziny w Polsce i wymyślił Redaktor).

Niestety, warunki pracy nie były najlepsze; otrzymywałem mniej niż minimum wynagrodzenia. Natomiast współpracę z Redaktorem bardzo miłe wspominam.

W początkach lat 70. zostałem ponownie współpracownikiem pisma; mój tekst ukazał się m.in. w ostatnim numerze pisma zredagowanym przez Romana Gronowskiego.

Zmarły 12 lipca 1974 roku red. Roman Gronowski w swoim testamencie w ogóle nie wspominał o „Tygodniku Polskim”, czyli nie dał wskazówek co ma się stać z pismem po jego śmierci. Zgodnie z prawem w takim przypadku „pismo” powinno być włączone do masy spadkowej – do podziału między spadkobierców. Prawne załatwienie sprawy testamentowej zabiera wiele miesięcy, co oznaczało by śmierć dla pisma. Wykonawca testamentu, dr Zbigniew Stelmach, postanowił je ratować, czyli dalej wydawać i finansować z masy spadkowej. Potrzebował do tego redaktora. Przypomniał sobie (co stwierdził w „Tygodniku”), że w jednej z nim rozmów red. Gronowski powiedział, że tylko ja mógłbym dać sobie radę z wydawaniem pisma po jego śmierci, gdyż jak byłem sekretarzem redakcji pisma nauczył mnie tego. Dr Stelmach uprosił mnie, abym ratował pismo i został jego redaktorem. Byłem nim od 17 lipca 1974 do 19 lipca 1977 roku.

Tak więc wspólnie z dr Stelmachem uratowaliśmy pismo dla społeczeństwa polskiego w Australii.

Natomiast uspołecznienie pisma to już tylko i wyłącznie moja zasługa. Trzymając pismo w swoich rękach i znając wszystkie jego tajemnice mogłem stać się bardzo łatwo jego właścicielem, gdyż jak orzekł sąd decyzja dra Stelmacha o wydawaniu pisma była sprzeczna z prawem, a szybko rozwiązać ten problem mogło kupno pisma przeze mnie. Ja jednak uważałem, że pismo powinno być własnością społeczną i dlatego musiała się odbyć jego licytacja (decyzja sądu spowodowana zaskarżeniem ze strony spadkobierców). Gdybym nie uważał, że pismo powinno być własnością społeczną, to mogłem stawać do licytacji, czy by się to komu podobało czy nie. Poza tym nie namawiałbym zarządu Spółdzielni Dom Polski im. T. Kościuszki do kupna pisma na licytacji lub mogłem tak pokierować SPRAWAMI, że nabywca tytułu pisma nigdy by nie wydał ani jednego numeru. – Nie żałuję swej decyzji, chociaż dzisiaj wiem, że nie ma żadnej różnicy między pismem prywatnym a społecznym.

Spółdzielnia kupiła na licytacji tylko i wyłącznie tytuł pisma. Nie kupiła ani kartoteki prenumeratorów, ani listy kolporterów i ogłoszeniodawców. Stała się właścicielem tych rzeczy również tylko i wyłącznie dzięki mnie, gdyż wszystko to dla niej skopiowałem przed licytacją. Bez tego samo kupno tytułu pisma niewiele by pomogło Spółdzielni w wydawaniu gazety.

Po nabyciu „Tygodnika Polskiego” zarząd Spółdzielni zaoferował mi stanowisko redaktora pisma.

Spółdzielnia, czyli wydawca panicznie bała się deficytu – reakcji na niego ze strony jej udziałowców. Stąd trzeba było pracować w bardzo ciężkich warunkach lokalowych, administracyjnych i technicznych w wynajmowanej „przedpotopowej” budzie sklepowej w Seddon. Godziłem się na to (jak i sekretarka pisma, p. Teresa Szulc) dla dobra pisma. W jak trudnych warunkach pracowałem niech zaświadczy to, że w tej „budzie” jako redaktor nie miałem własnego kąta, a redakcja nawet maszyny do pisania z polskimi czcionkami (używałem własnej). Mój następca nie chciał pracować w takich ciężkich warunkach i wydawca musiał odpowiednio wyremontować tę „budę” i dużo lepiej urządzić redakcję.

Aby zaoszczędzić wydatków dla wydawcy chyba jako jedyny redaktor w historii pisma przez cały dzień pomagałem przy wysyłce pisma! A nie musiałem tego robić! Po prostu dłużej za pieniądze robili by to pan Juliusz Kurkowski i pani Stasia Flisykowskiej.

Dla dobra pisma zrezygnowałem również z bonusu, który mi się należał zgodnie ze spisana umową między mną a wydawcą.

Przez trzy lata byłem redaktorem „Tygodnika Polskiego” i każdego roku pismo było dochodowe, co potwierdzają zestawienia finansowe drukowane w „TP”.

W redagowaniu i w prowadzeniu „Tygodnika” nikt mi nie pomagał!!! To nie to co teraz, że red. Józefie Jarosz pomaga w pracy ofiarnie i często bezinteresownie aż tyle osób. Ale to zasługa obecnego prezesa/wywadcy i może innych osób, które troszczą się o pismo. Tej troski o pismo nie

było wśród zarządu Spółdzielni jak ja byłem redaktorem. Może dlatego, że posiadanie pisma było dla nich nowością i nie wiadano jak do tej sprawy dobrze podejść.

Pracy nie ułatwiali mi również niektórzy działacze polonijni, którzy uważali, że społeczny „Tygodnik” to ICH pismo, i przez to mogą mi dyktować to i owo. A jak nie mogłem spełnić ich żądań, to lecieli ze skargą na mnie do wydawcy pisma. Sprawę tę uregulował wydawca dopiero za mojego następcy.

Miałem jednak poparcie moralne i nie tylko moralne ze strony bardzo wielu czytelników pisma i szeregu osób, jak np. Edwarda Myszki, Teresy Szulc, dra Stelmacha, mjr Jandzisa, o. Rajmunda Koperskiego OP, państwa Piskozubów (wraz z córkami), Michała Czajki czy Czesława Graczyka. – Dzięki im za to.

W chwili śmierci red. Gronowskiego „TP” miał nakład 2500 egzemplarzy, a w chwili mojego odejścia z redakcji 2700 egzemplarzy. Pozyskałem ok. 200 nowych prenumeratorów, co było dużym osiągnięciem. Każdy redaktor pisma emigracyjnego wie jak ciężko jest zdobyć nowego prenumeratora!

Nakład pisma wzrósł, gdyż podobało się ono czytelnikom i społeczeństwu polskiemu. Nie miałem ambicji uczynienia z „TP” nowej paryskiej „Kultury”, gdyż takim pismem nie byli zainteresowani jego czytelnicy. Starłem się o to, aby pismo było niepodległościowe i na dobrym poziomie, a przede wszystkim żeby podobało się czytelnikom. Np. 50% ówczesnych Polaków w Australii pochodziło z Ziemi Wschodnich (Lwów – Wilno), stąd wprowadziłem tematykę kresową. Jednak przede wszystkim starałem się, aby w piśmie było jak najwięcej oryginalnego materiału. Nigdy przedtem i nigdy potem „Tygodnik Polski” nie miał aż tyle oryginalnego materiału – od Polaków z całej Australii co za mnie, szczególnie w ostatnim okresie.

I nigdy żaden inny redaktor „TP” nie pisał dla pisma aż tyle tekstów co ja pisałem. A podpisywałem je swoim nazwiskiem, pseudonimem „Marian Kliczkowski” i skrótami ze swego imienia i nazwiska „Mar-Ka” lub „m.k”.

Moją ważną rolę w historii „Tygodnika Polskiego” dostrzegł krajowy historyk prasy polskiej w Australii Jan Lencznarowicz, który napisał: „M. Kałuski zdołał przeprowadzić gazetę przez najtrudniejszy okres utrzymując jej objętość i zyskując nowych prenumeratorów” (*Prasa i społeczność polska w Australii 1928-1980* Kraków 1994).

Cieszę się, że „Tygodnik Polski” ciągle się ukazuje, że dojrzał do 60-tki, jak i z tego, że jest dobrym – ciekawie redagowanym pismem.

Życzę pismu dalszych 60 lat, gdyż jest ono nam i polskiemu życiu społecznemu w Australii bardzo potrzebne.

Marian Kałuski